

RABINDRANATH TAGORE

Był sobie król

RABINDRANATH TAGORE

GŁODNE KAMIENIE

Był sobie król

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

Był sobie król...

Za naszych lat dziecięcych nie pytano nigdy:

— Co to za król? Gdzie żył?

Gdyż szło o króla z baśni. Mając lat siedem żaden z nas nie był ciekawy dowiedzieć się czegoś jeszcze o owym królu ni badać, czyli żył i panował w Kaszi lub Kanauź, czy mu było na imię Siladitja lub Śaliwahan.

Sama owa najwyższa prawda, owa rzeczywistość niezrównana zawarta w słowach:

— Był sobie król...

starczyła, by rozplómić radością bez granic i świętym natchnąć uniesieniem małego słuchacza.

Tak było, teraz jest inaczej. Słuchacze są bystrzejsi i żądają większej ścisłości. Naturalnie, wszakże nastąpiły czasy krytycyzmu i nauki. Posłyszawszy taki początek baśni słuchacz uczuwa podejrzenie, kieruje reflektor wiedzy na oną mgławicę legendarną i pyta:

— No dobrze... ale jaki król?

Stosując się do zmienionych wymagań swych klientów, baśniopisowicze i ich głosiciele nie zadowolają się już dawną nieokreśloną formą, ale przybierając miny niezmiernie uczone, zaczynają tak:

— Był sobie pewnego razu król imieniem Adżataśatru...

Niestety i to nie starczy chciwemu wiedzy słuchaczowi naszych błogich oświeconych czasów. Uśmiecha się, spoziera spod oka, łyska okularami wiedzy i mówi do autora:

— Dobrze... dobrze, szanowny panie, ale... który Adżataśatru?

Na to autor, który przygotował się należycie:

— Każdy żak szkolny wie doskonale, że było trzech królów tego imienia. Adżataśatru I urodził się w XX wieku przed Chrystusem i zmarł wcześniej, mianowicie licząc dwa lata i osiem miesięcy życia. Bardzo mi przykro, ale nie zdołałem odnaleźć w archiwach ścisłych i dokładnych dat, szczegółów oraz całokształtu jego panowania. Adżataśatru II lepiej jest już znany historykom naszym. Nowa, wydana w latach ostatnich *Wielka Encyklopedia Historii* zawiera na stronie...

W tym momencie słuchacz współczesny doznaje ogromnego ukojenia. Sumienie naukowe przestaje mu doskwierać. Czuje, że może zaufać autorowi, który stoi na wysokości zadania, i mówi do siebie: „Usłyszę opowieść pożyteczną, pouczającą i ciekawą”.

O, jakże łatwo oszukać dzisiejszego krytycznego słuchacza! Wszyscy drżymy na myśl, że ktoś posądzi nas o brak naukowości, a kończy się na tym, że jesteśmy nieukami. Rezultat ów zaś osiągamy przebiegłszy długą, mozolną drogę badań.

Anglik posiada przysłowie: „Nie pytaj, a nie będę zmuszony cię okłamywać”. Siedmioletni chłopiec słuchający baśni wie o tym doskonale, przeto przez cały czas opowiadania milczy dyskretnie. A piękne zmyślenie niczym nieosłonięte, niewinne jako niemowlę, przejrzyste się staje jak prawda, jak krystaliczny, ożywczy potok górski. Natomiast zamaszyste, ciężkie, uczone kłamstwo czasów naszych musi prawdziwe swe oblicze ukrywać z zakłopotaniem pod fałdzistą draperią. Niechże w draperii onej znajdzie się bodaj najmniejsza dziurka, którędy przeniknąć zdoła oko, natychmiast słuchacz czy też czytelnik

Wiedza

nik odwraca się z oburzeniem i odrazą, po czym... autor może pakować manatki, sława bowiem jego przepadła z kretesem.

Za młodu... za młodu znaleźliśmy się wszyscy doskonale na łakotkach i słodycz uroczą baśni odkrywaliśmy metodą własną, nieomylną. Cóż nas wówczas obchodziły takie nieużyteczne sprawy, jak na przykład... wiedza? Szło nam jeno o... prawdę! Małeńkie, niezepsute serduszko wiedziało dobrze, gdzie jej pałac kryształowy i którędy doń wiedzie droga.

Dzisiaj wymagają ludzie, byśmy całe spisywali stronicie faktów, gdy sama prawda brzmi po prostu:

— Był sobie król...

Pamiętam pewien wieczór w Kalkucie.

Babka zaczęła bajkę, a na dworze szalała nawałnica. Miasto było zalane wodą, ludzie brodzili w niej z trudem, a w naszej ulicy sięgała przechodniom po kolana.

Serce moje wezbrało nadzieją tak silną, że była mi niemal pewnością. Pragnąłem, by nauczyciel się nie zjawił, by nie mógł przybyć onego wieczoru. Siedziałem w najdalszym kącie werandy i patrzyłem w ulicę, a serce mi biło... tak mocno... coraz mocniej. Nie spuszczałem oczu ze strug deszczu, a ile razy słabło jego natężenie, zbierając wszystkie siły woli, modliłem się:

— Boże... Boże... każ padać deszczowi mocno, bardzo mocno, aż do wpół do siódmej!

Byłem święcie przekonany, że powodem całej burzy, nawałnicy i powodzi jest wyłącznie sprawa wyrwania ze szponów nauczyciela biednego bezbronnego chłopczyny, przytulonego do kącika werandy pewnego domu w Kalkucie.

Nie wiem, czy modlitwa moja została wysłuchana, czy sprawiła to jakaś przyczyna niższego rzędu, prawo fizyczne lub coś podobnego, dosyć, że deszcz uparł się i padał dalej.

Niestety, uparł się także i mój nauczyciel. Punktualnie w czasie przeznaczonym na lekcję ujrzałem wynurzający się z zakrętu ulicy jego parasol. Wielka mydlana bańka nadziei w piersi mojej pękła i uczulem ból w sercu. „Zaprawdę” — pomyślałem — „jeśli istnieje kara w drugim życiu, odpowiadająca dokładnie winie, to nauczyciel odrodzi się w moim ciebie, ja zaś przyjdę na świat jako jego nauczyciel”.

Zobaczywszy parasol, zerwałem się i co sił w nogach pobiegłem do pokoju matki. Matka i babka siedziały naprzeciw siebie przy stole, na którym stała lampa, i grały w karty. Wbiegłem, rzuciłem się na łóżko tuż koło matki i zawałem:

— Matusiu droga, nauczyciel przyszedł, a mnie tak bardzo boli głowa! Czy muszę koniecznie odbyć lekcję dzisiaj?

Mniemam, że opowieść ta nie wpadnie w rękę dziecku nieletniemu, i ufam silnie, iż nie zostanie zamieszczona w podręczniku szkolnym. To, co uczyniłem, było bardzo, bardzo złe, a mimo to nie spotkała mnie najłżejsza nawet kara. Przeciwnie, występek mój został po królewsku nagrodzony i odniósł triumf.

Matka powiedziała:

— Dobrze! — a zwracając się do służącej, dodała: — Powiedz nauczycielowi, że lekcji dziś nie będzie.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, iż choroby mej rzekomej nie brała na serio, gdyż grała dalej w karty, nie zwracając wcale uwagi na mnie. Ja zaś, ukrywszy twarz w poduszki, śmiałem się długo i serdecznie. O, jakżeśmy się doskonale rozumieli oboje z matką.

Ale chyba wszyscy wiedzą dobrze, że udawanie choroby przez czas dłuższy to dla siedmioletniego chłopca rzecz niezmiernie trudna. Nie minęła minuta, a już uczepliłem się babuni, prosząc gorąco:

— Babuniu! Opowiedz mi bajkę!

Musiałem powtarzać tę prośbę nieskończoną ilość razy. Matka i babka grały dalej i nie zwracały na mnie uwagi. Na koniec matka powiedziała:

— Dajże nam spokój! Zaczekaj, aż skończymy partię.

Ale ja się upierałem:

— Babuniu, opowiedz mi bajkę!

Powiedziałem matce, że może jutro skończyć grać, a babka powinna teraz opowiedzieć bajkę.

Znudzona matka rzuciła karty i powiedziała:

— Trudno! Niech będzie bajka! Nie mogę sobie z tym smykem dać rady.

Sprawiedliwość

Może pomyślała, że jutro nie będę jej nudził, bo przecież przyjdzie nauczyciel i zabierze mnie do nauki.

Widząc, że matka się poddała, rzuciłem się na babkę. Chwyciłem ją za rękę, tańcząc z zachwytem, i zaciągnąłem na łóżko pod siatkę od moskitów.

— Teraz opowiadaj, babuniu!

A babunia zaczęła:

— Był sobie król i miał królową.

„Jak na początek, niezłe” — pomyślałem — „miał tylko jedną!”.

Zazwyczaj królowie z baśni są na punkcie królowych wprost rozrzutni i gdy się dowiemy, że były na przykład dwie królowe, to nas zaraz ogarnia jakiś smutek. Jedna z nich musiała być niezawodnie nieszczęśliwa! No, ale w tej bajce niebezpieczeństwo nie zagrażało, wszakże miał tylko jedną jedyną.

Zaraz potem dowiedziałem się, że nie miał syna. Miałem lat siedem i nie sądziłem, że nieposiadanie syna może być przyczyną zmartwienia. Tym lepiej, zawadzałby tylko.

Ale nie zdziwiłem się zbyt, usłyszawszy, że król udał się do lasu pościć i zanosić błagalne modły w tym celu, by otrzymać syna. To jego rzecz. Ja osobiście udałbym się do lasu chyba po to, by ująć pazurów mego nauczyciela.

Król tedy poszedł, zostawiając królową wraz z małą córeczką, która rosła, rosła, aż wyrosła na śliczną królowę.

Minęło dwanaście lat. Król ciągle pościł i modlił się o syna, a ani razu przez cały czas nie pomyślał o swej córeczce. Królowa tymczasem rozkwitła całą krasą młodości. Mijał rok za rokiem, pora zamężcia mijała, król nie wracał. A królowa martwi się i płacze, i wzdycha, i mówi:

„Czyż córka moja ma umrzeć niezamężną? O, biada mi! O, jakież smutny mój los!”.

Posłała zatem gońców do króla, którzy go bardzo, bardzo prosili, by zechciał przybyć do pałacu na jedną jedyną noc i spożyć bodaj jedną jedyną wieczerzę. A król przystał na to.

Królowa przyrządziła własną ręką, przykładając się z niezmierną pilnością do pracy, sześćdziesiąt cztery potrawy, przysposobiła małżonkowi siedzenie z drzewa sandałowego i sama poukładała przysmaki na złotych talerzach oraz ponalewała napoje w srebrne kubki.

Za fotelem stanęła królowa z wachlarzem z piór pawich w dłoni. Po dwunastoletniej nieobecności wkroczył król do pałacu. Królowa poruszała wachlarzem, a piękność jej rozświetliła wszystkie komnaty. Król patrzył w oblicze swej córki i zapomniał usiąść i jeść.

Po długiej chwili zapytał królową:

„Powiedz mi, kim jest to dziewczę, którego piękność wydaje się być odblaskiem lic bogini. Czyją jest córką?”.

Królowa dotknęła dłonią czoła i zawołała:

„O, jakże straszny jest mój los! Czyż nie poznajesz własnej córki swojej?”.

Król zmieszał się i rzekł pełen podziwu:

„Widzę, że mała córeczka nasza wyrosła na piękną kobietę”.

„Naturalnie!” — odparła królowa, wzdychając. — „Czyż nie wiesz, że minęło dwanaście lat!”.

„Czemuż nie zaślubiłaś jej do tej pory?” — spytał król.

„Ciebie nie było!” — rzekła królowa. — „Jakże tedy mogłam znaleźć dla niej odpowiedniego małżonka?”.

Królem owładnęło wzburzenie i zawołał:

„Pierwszy mężczyzna, którego ujrzę jutro, wychodząc z pałacu, zostanie jej mężem!”.

Królowa poruszała dalej wachlarzem z pawich piór, a król ukończył biesiadę.

Gdy następnego ranka król wyszedł z bramy pałacu, spostrzegł syna pewnego bramina, zbierającego chrust i suche gałęzie w pobliskim lesie. Chłopak miał siedem lub osiem lat.

A król rzekł:

„On zostanie mężem córki mojej!”.

Któż się oprzeć ośmieli woli króla?

Przywołano chłopca i musiał zamienić z królową ślubne wieńce.

Przytuliłem się do babuni mocniej jak dotąd i gładząc jej białe włosy, spytałem goścym szeptem:

— I cóż dalej?

Na dnie serca mego tało się pałace pragnienie, bym mógł znaleźć się na miejscu owego siedmioletniego męża cudnej królowej. Z dworu dochodził jednostajny chłupot wody. Gliniana lampka, u mego łóżka stojąca, płonęła niskim, mdłym płomyczkiem. Głos babuni brzęczał cichutko niby skrzydełka owada. Wszystko było jak tajń cudu, a z niej snuła się złota nić rozmarzeń. Zdało mi się, że ongiś... dawno... w zamierzchłym, nieokreślonym czasie zbierałem suche gałęzie w lesie przytykającym do pałacu dziwnego króla. Tam to pewnego ranka spotkało mnie szczęście. Oto zamieniłem wieńce małżeńskie z królową, cudną jak sama bogini wdzięku. We włosach jej połyskiwała przepaska złota, złote kolczyki zwisały z jej uszek różowych, złocisty łańcuch opasywał jej wiotką kibić i złote obrączki brzękały u kostek jej nóżek precudnych.

Gdyby babunia była autorem, ileż by musiała przydać objaśnień tej krótkiej, nikłej baśni! Przede wszystkim spytano by, po co król przebywał przez całych lat dwanaście w lesie? Po wtóre, dlaczego królowej nie wydano za męża? Jedno i drugie to oczywisty nonsens.

A choćby nawet aż do tego punktu czytelnicy wytrzymali bez krytyki, to niewątpliwie na samą wzmiankę o tak dziwnym małżeństwie powstałby rumor niesłychany i zewsząd rozległyby się protesty. Po pierwsze bowiem, małżeństwo to nigdy w ogóle zawarte nie zostało, a autor zmyśla. Po wtóre, jakże mogła królowa, pochodząca z kasty wojowników, poślubić chłopca z kapłańskiej kasty braminów? Czytelnicy musieliby nabrać przekonania, że autor potajemnie, w osłonie baśni, występuje przeciwko uswięconym długą tradycją wieków zwyczajom religijnym i społecznym urządzeniom narodu. Naturalnie zasypano by listami dzienniki.

Toteż modliłem się z całego serca do Boga, prosząc go, by babunia w następnym wcieleniu nie przyszła na świat jako postępowy wnuk swój, autor, ale ponownie jako stara zacofana babunia opowiadająca po prostu bajki.

— I co dalej? — spytałem, oczekując dalszego ciągu z biciem serca.

A babunia mówiła:

— Królowa zabrała z sobą swego maleńkiego męża i zbudować kazała wielki wspaniały pałac o siedmiu bramach. Tam zamieszkała i zaczęła wychowywać chłopca.

Podskoczyłem kilka razy w łóżku, silnie objąłem ramionami poduszkę i spytałem:

— Cóż dalej?

— Młody chłódził do szkoły, uczył się wielu rzeczy od różnych nauczycieli, a gdy wyrósł trochę, pytali go koledzy:

„Któż to jest owa piękna dama mieszkająca z tobą w pałacu o siedmiu bramach?”

Młody chłopiec bramiński sam był ciekaw, kim była owa dama. Ale pamiętał tylko, że pewnego dnia zbierał suche gałęzie, a potem uczyniło się jakieś zbiegowisko. Wszystko to stało się niezmiernie dawno... doprawdy nie mógł sobie przypomnieć szczegółów.

Minęło pięć lat. Koledzy pytali go ciągle:

„Kto jest owa piękna dama z pałacu o siedmiu bramach?”

Razu pewnego chłopiec wrócił ze szkoły do domu pogrążony w smutku i powiedział do królowej:

„Koledzy pytają mnie ustawicznie, kim jest owa piękna dama z pałacu o siedmiu bramach, a ja nie wiem, co odpowiedzieć! Powiedzże mi, kim jesteś?”

Królowa odparła:

„Zaczekaj... przyjdzie dzień, w którym się dowiesz!”

Chłopiec pytał odtąd codziennie: „Ktoś jest, piękna damo?”, a królowa powtarzała niezmiennie: „Zaczekaj... przyjdzie dzień...”

I znowu minęły trzy czy cztery lata.

Nareszcie poczęło synowi bramina brakować cierpliwości i rzekł: „Jeśli mi dzisiaj nie powiesz, kim jesteś, piękna damo, wiedz, że niezwłocznie opuszczę ten pałac o siedmiu bramach”.

Na to odpowiedziała:

„Powiem ci jutro!”

Gdy tylko nazajutrz młodzieniec wrócił ze szkoły, natychmiast poczęł prosić:

„Powiedz mi nareszcie!”

„Powiem ci dzisiaj w nocy, po wieczery, gdy będziesz leżał w łóżku”.

„Dobrze!” — odparł i jął liczyć godziny dzielące go od nocy.

A królowna przysuła¹ łożę jego białym kwieciem, napełniła wonnym olejem złotą lampę, zapaliła i postawiła u wezłowia. Potem przystroiła włosy, wzięła przecudną szafirową szatę i usiadłszy, jęła liczyć godziny dzielące ją od nocy.

Kiedy małżonek królowny ukończył wieczerzę, nie mogąc nawet jeść skutkiem wzburzenia i niecierpliwości, i wreszcie znalazł się w złocistym łożu przysutym białym kwieciem, rzekł do siebie:

„Tej nocy niezawodnie dowiem się, kim jest piękna dama z pałacu o siedmiu bramach”.

Królowna posiliła się resztkami potraw, które pozostawił małżonek, a potem udała się, idąc powoli do komnaty sypialnej. Tej nocy miała dopełnić przyrzeczenia i powiedzieć mu, kim jest.

Kroczyła z wolna po stopniach ku łożu, a stanąwszy, pochyliła się nad młodzieńcem. Nagle spostrzegła, iż wąż skryty w kwiatach ukłuł jadowitym żądłem jej małżonka. I oto syn bramina, młodziuchny mąż jej, leżał na posłaniu z kwiatów blady, cichy i martwy...

Serce mi bić ustało nagle i spytałem zdławionym szeptem:

— I co dalej?

— Co dalej... — powtórzyła babunia jak echo.

Nie warto, zaprawdę, snuć dalej bajki. W miarę opowiadania stałaby się coraz to niemożliwszą i nie zaspokoila nikogo.

Siedmioletni chłopczyzna nie wiedział, że... o ile istnieje coś dalej... poza grobem, żadna babunia ani prababunia tego opowiedzieć nie może.

Wiara dziecięca nie uznaje faktu zniszczenia. Nie przypuszcza, by coś mogło ustać, chwytając za płaszcz śmierci, obraca go na wszystkie strony i pyta: *coż* dalej?

Jakże pojąć dziecku, iż baśń, opowiedziana o słodkim wieczorze, cudnym wieczorze pogromu nauczyciela, może się tak przeraźnie i nagle skończyć... Babunia musiała tedy otworzyć kluczem wrota niepodobieństwa, rozewrzeć podwoje tajemnej komnaty wiekuistości i... opowiadać dalej.

Uczyniła to bardzo prosto. Przywiązała martwe zwłoki do pnia bananu², puściła je z prądem rzeki i poleciała czarodziejowi wygłosić odpowiednią formułę zaklęcia.

To starczyło. Onej bowiem przesiąkłej deszczem nocy śmierć utraciła dla chłopca całą przeraźną grozę swoją i zdała mu się jeno głębokim snem jednej nocy. Zanim przebrzmiały ostatnie słowa, zapadły znużone powieki przyciśnione uśpieniem.

Drobne ciało chłopca płynie ułożone w łodzi odrętwienia po fali czasu, a jutro czarodziej-dzień wygłosi formułę zaklęcia i dziecko powróci na świat życia i słońca.

Śmierć, Sztuka,
Dzieciństwo

¹przysuć (daw.) — tu: opleść, przyozdobić. [przypis edytorski]

²banan — tu: bananowiec. [przypis edytorski]

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tagore-byl-sobie-krol>

Tekst opracowany na podstawie: Rabindranath Tagore, Głodne kamienie i inne opowiadania, tłum. Jerzy Bandrowski, Franciszek Mirandola, Czytelnik, Warszawa 1961

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Dagmara Deska, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Theresa Thompson, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.